

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 80 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 47 z dnia 24 listopada 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Herbatę, Kawę i Kakao

w zupełności
zastępuje

„KOFFONELLI”

Dostać
można wszędzie.
Wystrzegać się
lichych naśladownictw
Wyłączność firmy „HYGIENA”
Warszawa, Senatorska 32.
10425



Franc. Tow. Ubezpieczeń na Życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezł. do pracy

Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszozatik Nr. 48.
Wilno, róg 5-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

KAZIMIERZ TETMAJER
Notatki literackie

Cena Mk. 3.—.

15040

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

gotują się, niecierpliwą, skaczą w ramach, nie dając zgoda chwili spokoju widzowi. Ten nadmiar energii szkodzi tym dziełom sztuki.

Ale z pełnego spichrza, z dużych zasobów zawsze łatwiej gospodarować, jak z kusej chudoby. W tych niepokojących płótnach siedzi talent ogromny, choć jeszcze niezupełnie umiejętnie zagospodarowany. Autor dotąd zabija wróbla armatą — cuj bono?

Kto rozumie trudności malowania tak wielkich płócien, ten musi uznać łatwość autora w pokonywaniu tych obszarów. Taka „Powódź”, tryptyk, jest jako całość kompozycyjna i jako wyraz typu i sentymentu, dziełem zastanawiającem. Jest tam bezpośredniość obserwacji, prawda efektów świetlnych i natury ich zjawisk, spieszenie chwycionych pędzlem, nierwszorządna.

„Pogrzeb”, jeden z najdawniejszych jego utworów, razi karykaturalnością, ale już widać i tam łwi pazur przyszłego kolorysty. Formy rozpadają się, ale całość żyje!

Obraz, którego zadaniem było wywołać w widzu uczucie grozy, żywiołu rozpetanego do absurdu, to „Wychodźcy”. Mimo ogromnych wad formy, jest to dzieło niezwykle, żywiołowym pędem rozbijające nawet najtwardszych pesymistów.

„Portret Kasprowicza” należy do najlepszych prac autora. Pojęty w stylu Goyi czy Zuloagi, daje nam przecucie — nawet bez owych pirotechnicznych gwiazd złotem malowanych, że ktoś sportretowany jest wybitną jednostką ludzką. Wielki

Wystawa Prac Fryd. Pautscha w Tow. Zach. Sztuk Pięknych.

Znajdujemy się w świecie wschodnim. Otoczenie jaskrawe, barwne do szalu niczem nie przypomina naszego życia. To świat *Huculów* — *Pautscha*. Dopiero ochłoniwszy z pierwszego wrażenia, poznajemy galicyjskich kresowców. Świat ten bywał nieraz już wyzyskiwany w sztuce. Nigdy bodaj jeszcze z tak wielką brawurą przesady tego wszystkiego, co się zwie pierwiastkiem etnograficznym danej miejscowości.

Stojąc przed „Żebrakami”, mimowoli przypominają się najdalej wysunięte prowincje wschodniej Galicji; jest tu wirwar kolorów zupełnie nie skoordynowanych, tak zgoda przypadkowy i nielogiczny, jak garść barw, na chybił-trafił rzucona na paletę. Zgiełk efektów tłoczących się.

Ale — między temi ogromnemi obrazami jest kilka takich, które pozwalają nam twierdzić, że Pautsch temi pracami wcale nie powiedział swego ostatniego słowa, że to tour de force nie stałe, że z tego wirwaru, te-

go szukającego drogi, bardzo wybitnego talentu wyłoni się z czasem *dzieło zupełne*. Mamy próbę podobnej właśnie tendencji, *chwile uspakajająca*: „Czarny baran”, ten kapitalny obraz,



Fryderyk Pautsch.

jest mimo najmniejszej ilości zużytych efektów, najwięcej barwnym obrazem całej kolekcji. Konsekwentna sztuka malarska, silna i pewnowswych środkach wypowiadania się niewielu tonami. Toż samo można powiedzieć o „Ucieczce do Egiptu”. Tam jeden efekt latarni więcej działa — niż całe pudła farb, wimalowane bez istotnej potrzeby.

Pautsch jest urodzonym dekoratorem, naturą gorącą; jego obrazy



Fot. St. Mastowski.

Fr. Pautsch. „Ucieczka z Egiptu”.

poeta jest zważyto zbudowanym człowiekiem; ta ciężkość gatunkowa zbyt nie została podkreślona w obrazie, ale całość robi wrażenie ponurej mocy. Słowem, portret nie jest i tylko „konterfektem”, ale stał się i obrazem, czego autorowi tylko powinszować można.

Artysta podczas inwazji moskiewskiej na Galicję został obrabowany z całego szeregu ostatnich swych prac, które poszły na onuczki żołdackie. Wyraz ostatniej fazy rozwoju artysty przepadł bezpowrotnie na zawsze.

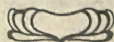
W Pautschu poznajemy siłę niezwykłą, naturę energiczną, kogoś, co do drzwi Sztuki polskiej zakolała silnie, a z pewnością miejsce, które w niej zajmie, będzie jedno z pierwszych.

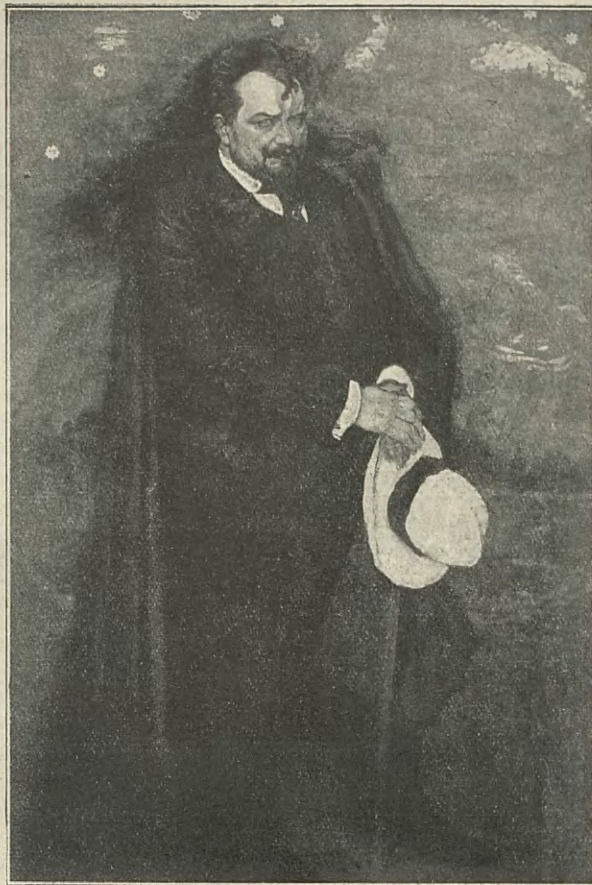
Władysław Wankie.



Fot. St. Mastowski.

Fr. Pautsch. „Powódź”.





Fot. St. Mastowski.

Fr. Pautsch. „Jan Kasprowicz.“



Fot. St. Mastowski. Fr. Pautsch. „Huculi i cyganie z czarnym baranem.“

WOKOŁO DOKUMENTU.

(POŚWIĘCONE LIBRECISTOM OPERETKOWYM).

Nie bez kłopotu gościnną Moskwa ulokowała w osobnym gmachu rząd Kraju Przywiślańskiego, ale to się jej w końcu udało dzięki gorliwości patriotycznej miejscowej biurokracji, popartej przekonaniem, iż jest prowizorium „na miesiąc“.

Ponieważ jednak, jak się pokazywało, stawał się on prawdziwie „ruskim miesiącem“, przeto władze wyższe zainteresowały się sprawą, nieco poniżone tem, iż rządy gubernialne Priwiślinja, w trudnych warunkach postawione, funkcjonowały jednak daleko regularniej i sprawniej, niż rządy wewnętrznych gubernii państwa, na których dezorganizacja wojenna wyciskała swe ślady. Papiery szły ciągle za właściwymi numerami; wnioski były zawsze należycie umotywowane; a w razie zbytecznego opóźnienia się z odpowiedzią władz centralnych, przychodziły nad Nowę przypomnienia, wylustrowane wymownymi datami.

Udał się przeto do Moskwy na rewizję rządów Priwiślinja jeden z panów wiceministrów, z tajemnym poleceniem

wyszukania dziury, choćby na całym.

Nie było mu trudno ją znaleźć.

Już pierwsza wizyta dostarczyła mu dość istoty do krytyki.

— Ależ, panowie, — zawołał zwiedzając gmach — *da wied' eto bezobrazie*.

W istocie, pomieszczono np. gubernie płocką obok gubernii kieleckiej na drugim piętrze, czyniąc je, wbrew geografii, bezpośrednimi sąsiadkami. A np. gubernię suwalską, która jak wiadomo, znajduje się u samego wierzchu Priwiślinja, ulokowano bezsensownie na parterze.

P. wiceminister dowodził, że taka dyslokacja mogłaby być jedynie dokonana przez radę ministrów, do czego jeszcze byłoby koniecznym specjalne polecenie cesarskie. I gotów był upatrywać w akcie tym „prewyszenie władzi“.

Spędzano całą winę na intendenta gmachu.

Ten jednak oznajmił, iż chciał ofiarować gubernii suwalskiej pięknych sześć pokojów na czwartym piętrze, przeciwko

czemu pan gubernator suwalski zaprotestował, ponieważ ma chorobę przestrzeni i boi się, żeby z piętra zaraz wyskoczył na ulicę. Oddano mu więc parter.

Ostatecznie p. wiceminister znalazł rozwiązanie. Awansowano p. gubernatora kieleckiego do cesarstwa, a na jego miejsce przesunięto p. gubernatora suwalskiego „z powodu choroby przestrzeni“, jak tłumaczył raport.

Wojna trwała dalej; życie szło na przód; dziennik rządów Priwiślinja bogacił się nowymi numerami. Ponieważ na dzień 20-go pensja była płacona regularnie przez gubernialne kasy, więc się, w gruncie rzeczy, niewiele w życiu urzędników odmieniło. Tem mniej, że uczęszczali w pierwszych dniach po 20-ym do „Jaru“, aby podziwiać Mesalkę i wtedy mówili sobie: „Nie masz jak Warszawa“ i „Choroszyj gorodok, jej Bohu“.

Na nowy rok nastąpiły awansy i ordery. Niektórzy urzędnicy otrzymali je automatycznie, po wysłuchaniu przepisanej liczby lat, dającej prawo do podwyższenia pensji albo do podniesienia klasy orderu. Inni otrzymali je wyjątkowo, za „gorliwość w służbie“. Protekcja i intryga nie były tu, jak zawsze, bezczynne.

Z inicjatywy jednego z naczelników

М. В. Д.
 ПЕТРОВСКИЙ
 ГУБЕРНАТОРЪ
 КАНЦЕЛЯРІА.
 № 4684
 1 июля 1917 г.
 Саратова.

13111

Проживающему въ Гор. - одзи по
 Оршанинканской ул. въ домъ № 10,
 курьеру Лодзинскаго городского
 Магистрата Ивану КОВАЛЬСКОМУ, хо-
 датайствующему отъ своего имени
 и по уполномочію другихъ курьеровъ
 того же магистрата Антона ЧОВИН-
 СКАГО, Одуарда ТЫЛЬКОВСКАГО, Марти-
 на ШОДЯГСКАГО, Франца КУНКОВСКАГО
 Осмы ШИШАНА, Антона МАТІШКЕВИЧА
 и Андрея ШТЕЙНИНСКАГО съ ассигно-
 ваніемъ слованья за проездъ
 время и дальнѣйшаго монетнаго
 пособія, въ связи съ прошеніемъ отъ
 25 октября 1916 г., переданное ми-
 нистерствомъ Внутреннихъ Дѣлъ,
 объявляется, что если просители
 несутъ обязанности по охранѣ зда-
 ній и имущества Магистрата, то за
 полученіемъ вознагражденія должны
 обратиться къ тому учрежденію, ко-
 торое имъ въдастъ дѣлами города

Лодзи.
 Губернаторъ
 На Виде - Губернатора
 За Освѣтника

Papier urzędowy z kancelarii gubernatora piotrkowskiego Jaczewskiego, który obecnie nawet w Saratowie rządzi, jak za dawnych czasów, w „Kraju Priwiślinskim“.

kancelarii gubernialnych wprowadzono po nowym roku pewną inowację, która powitana została z powszechnym aplauzem. Oto zaczęto korzystać w o wiele szerszej niż dotąd mierze, z instytucji „komandировок“. Miało to na celu wzmocnienie kontroli nad urzędnikami powiatowymi. Dlatego wyznaczano np. wicegubernatora płockiego doobjazdu komisarzy włościańskich radomskich, a „niepremiennyj czlen“ piotrkowski odwiedził łomżyńskich naczelników straży ziemskiej, aby się przekonać, azali tam „obstoit wsio blagopułuczno“. Umyślnie mieszano gubernie, aby czynnik koleżeństwa nie odgrywał w tych rewizjach roli. Poprawiło to ogromnie, jak skonstatowały odpowiednie raporty, stan rządzonych gubernij, w których dokonano wielu daleko posuniętych ulepszeń w myśl dawniej wydanych okólników. Polepszyło to też w pewnej mierze byt urzędników, których częściej widywano obecnie w „Jarze“ i „Metropolu“. Diety i sumy przejazdowe pozwalały im na pewne podniesienie stopy życiowych uciech.

Gubernatorowie, wobec rosnącej niezmiernie „nieblagonadieżności“ całego kraju, nie wyłączając i włościan, postanowili zjeżdżać się co tydzień do Warszawy na narady parodniowe, przytem podawano pewną sumę projektów obiet-

nic, które powinny buntujących się Polaków doprowadzić do opamiętania. Radykalni gubernatorowie proponowali nawet, aby obiecać Polakom wprowadzenie języka polskiego do sądu; na protesty zaś innych odpowiedzieli, że traktują tę obietnicę, zgodnie z przysłowiem polskim, jako „cacankę“, aby wywołać w odpowiednich sferach radość.

W tym czasie odznaczył się „niepremiennyj czlen“ Mikołaj Wasiljewicz Swołoczenko, dając dowody już dawniej znanej przenikliwości. Oto dostarczył on, własnymi, jemu tylko wiadomymi sposobami, kompletną listę tych kościołów, w których śpiewano w Warszawie zabronioną przez policję pieśń buntowniczą „Boże, coś Polskę“. Swołoczenkę przedstawiono do nagrody i tranzlokowano z Płocka do Piotrkowa. Oddawna się o to starał. Amator teatru, bardzo cierpiał na braku kolejowego połączenia, któreby pozwalało mu w „Nowościach“ spędzać chwile, swobodniejsze od urzędowych zajęć. Na nowem swoim, piotrkowskim stanowisku znowu się odznaczył: oto dostarczył władzom spisu tych wszystkich piotrkowskich cechów, które brały z chorągwiemi swemi udział w niedozwolonym pochodzie 3 maja. Było teraz pewnem, że przy pierwszym awansie Swołoczenko zostanie wicegubernatorem.

Pewnego jednak razu kolega i przyjaciel Swołoczenki, komisarz włościański Krasnomosow, zaszedłszy do jego „kwartiry“, zauważył leżący na stole „Kalendarz Pogotowia“. To mu zaraz pewne myśli nawiało. Począł sprawdzać tajne raporty Swołoczenki i przekonał się, że są one prostemi wypisami z kalendarza. Spryciarz podawał kompletną listę kościołów, kompletną listę cechów, pewny, że jego informacje będą, nie tylko wedle prawideł policji, ścisłe, ale nawet wedle sumienia uczciwego człowieka wierne.

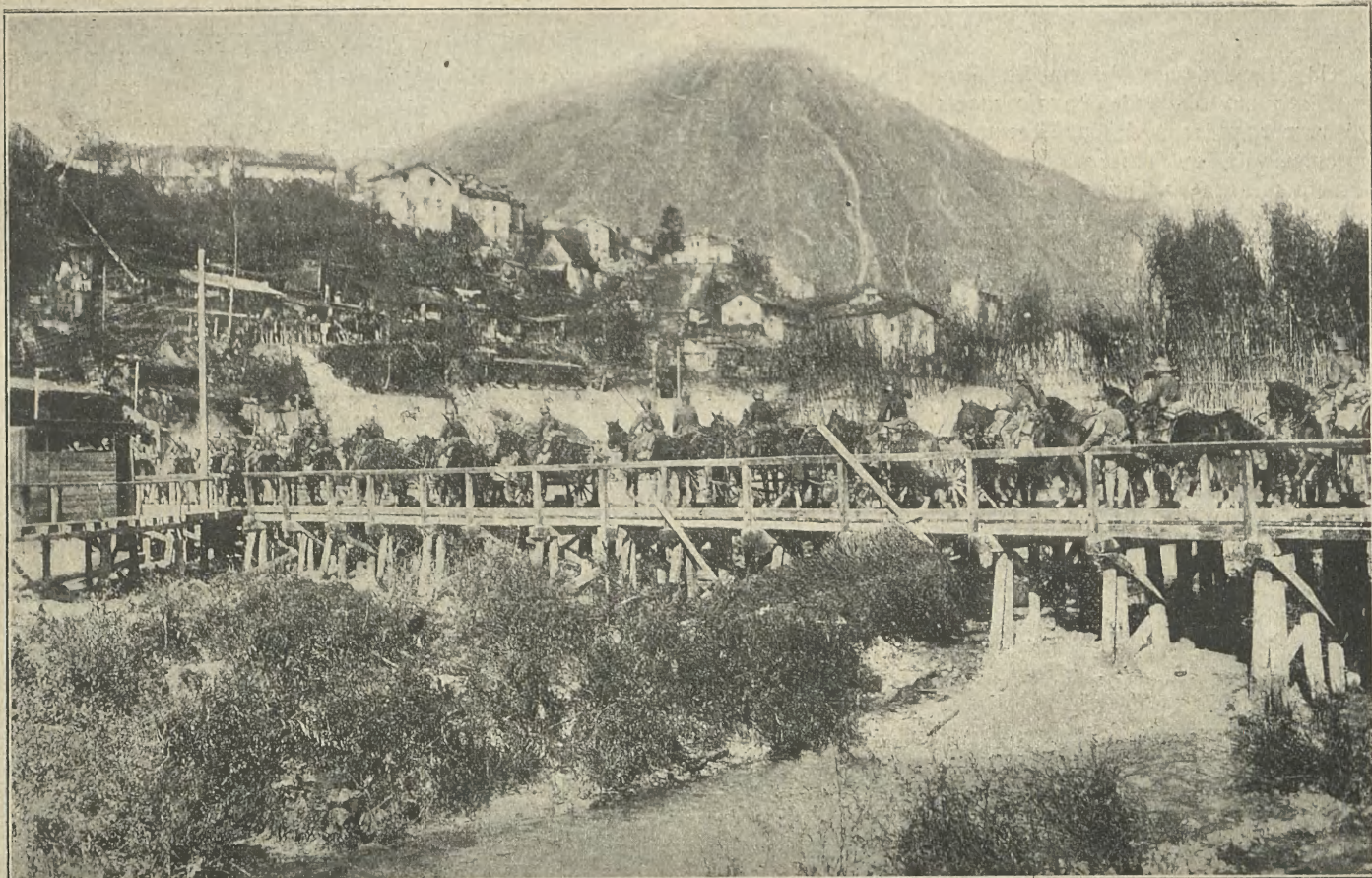
Gniew w nim zakipiał z tego powodu. Ale potem lepsze uczucia jego duszą zakołysały. Na skutek których, korzystając z nieobecności Swołoczenki, uniósł ze sobą „Kalendarz Pogotowia“, aby pozbawić kolegę możności nowych odznaczeń, a następnie, aby z kolei i samemu zakosztować słodyczy awansów.

Nie długo na to czekał. Już po miesiącu spotkano go na Mikołajewskiej ulicy, z alkoholem w ciele i radością w duszy. Szczęśliwy był i nieznanym całował.

— Ja już nie w Lipnie — oznajmiał im — „perewieli“ w Błonie. Tuż pod Warszawą...

Demil.





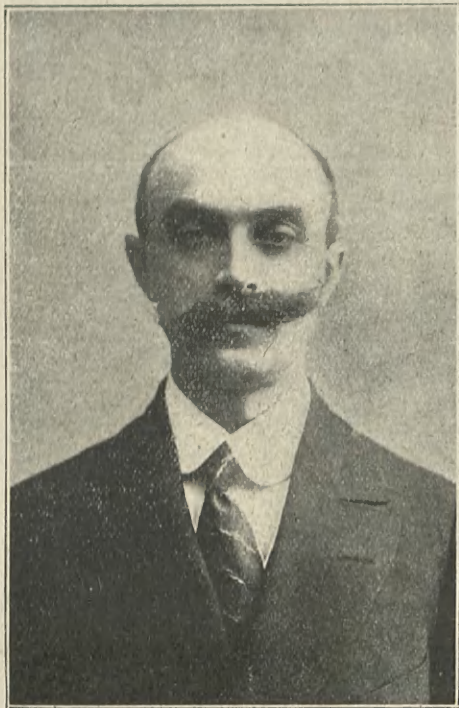
Niemieckie oddziały w zdobytym Woltschach; Niemiecka jazda w pochodzie przez Tolmein.



Niemieckie oddziały w zdobytym Woltschach; W pochodzie do Ciwidale. Przewożenie rannych Włochów w automobilach.

Pierwszy prezes ministrów Królestwa Polskiego.

Gdy kandydatura Adama hr. Tarnowskiego na to stanowisko nie mogła być przeprowadzoną, Rada Regencyjna zaproponowała na prezesa pierwszego gabinetu p. Jana Kucharzewskiego. Zda się nie podlegać wątpliwości, że ta kandydatura uzyska odpowiednią sankcję i że w najbliższych dniach powołany będzie do życia gabinet.



Jan Kucharzewski.

P. Jan Kucharzewski urodził się w roku 1876 w Wysokiem Mazowieckiem w ziemi Łomżyńskiej. Gimnazjum ukończył w Łomży. Wydział prawny w Warszawie w roku 1898 ze stopniem kandydata, poczem kształcił się za granicą. Wydał pracę prawną-socjalistyczną p. t. „Początki prawa małżeńskiego“ w 1901 roku. Lat pięć urzędował w Prokuraturji Skarbu Królestwa Polskiego, jako asesor, a potem obrońca. Następnie został adwokatem przysięgłym, głównie atoli poświęcił się wykładom prawa i ekonomji politycznej na Wyższych Kursach Naukowych (TKN). W roku 1906 wydał „Socjalizm prawniczy“, w r. 1907 „Narodowość a państwo“, a potem „Sprawa polska w parlamencie frankfurckim“. Odtąd był już wienny historii polskiej. W r. 1910 ogłosił dzieło p. t. „Maurycy Mochmacki“. W r. 1911 wydał „Czasopiśmiennictwo polskie w XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi oraz na emigracji“, następnie specjalnie poświęcił się badaniu epoki Paskiewiczowskiej, zgromadził materiał z archiwów zagranicznych i krajowych i przygotował dzieło zakrojone na parę tomów, z którego zdążył przed wojną wy-

dać tylko tom I, p. t. „Epoka paskiewiczowska. Losy oświaty“.

Podczas wyborów do czwartej Dumy wypłynęła jego kandydatura przeciwko panu Romanowi Dmowskiemu. Kandydaturę przyjęto dobrze we wszystkich kołach. Sympatyczna była demokratom. Oświadczyli się za nią bez ogródek realliści. P. Kucharzewski stał się kandydatem koncentracji. Rezultat walki wyborczej był jednak taki, że mandat otrzymał kandydat socjalistyczny, p. Jagiełło.

Wojna zastała p. Kucharzewskiego w Szwajcarii. Natychmiast wytworzył w Lozannie poważne ognisko polskiej politycznej myśli.

W styczniu 1915 roku umieścił w „Gazette de Lausanne“ szereg artykułów, które obiegiły w przedrukach i wyjątkach prasę zachodnio-europejską i wydane zostały następnie w oddzielnej broszurze p. t. „La Pologne et la guerre“, a niebawem zjawily się również w tłumaczeniu włoskiem i angielskiem. Stanął w niej autor wyraźnie na stanowisku dążenia narodu polskiego do niepodległości i przyczynił się do zachwiania poglądu wówczas w prasie koalicji rozpowszechnionego, jakoby autonomia pod berłem Romanowów była celem dążeń Polski. Następną z kolei pracą była książka wydana w r. 1915 p. t. „Reflexions sur le problème polonais“, która rozeszła się w 6-u wydaniach. Program dla akcji narodowo-politycznej Polaków za granicą rozwinął Kucharzewski w broszurze „W imię jedności“ w 1915 r., gdzie wzywał rodaków, aby połączyli się w jedno ognisko pracy na gruncie najwyższych aspiracji narodowych oraz na tle celowej i roztropnej propagandy. Na podstawie poglądów, wyłuszczonej w tej broszurze, założył Kucharzewski na wiosnę 1915 roku w Szwajcarii stowarzyszenie, które wzięło nazwę od pierwszej jego publikacji „La Pologne et la guerre“ i które rozwinęło działalność drogą artykułów w dziennikach, odczytów i t. p.

W r. 1916 założył Kucharzewski ozdobne ilustrowane wydawnictwo ku propagandzie sprawy polskiej pod nazwą „L'aigle blanc“; dotychczas wyszły 4 tomy.

W lecie r. b. Kucharzewski powrócił do Warszawy i od sierpnia objął urząd referenta, a następnie szefa sekcji szkolnictwa wyższego w Departamencie wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Potem powołany został na wezwanie Rady Regencyjnej do obowiązków referendarza Rady.



Szczeńliwe ocalenie Cesarza Karola.

J. C. M. Cesarz Karol bawił dnia 10 listopada z królem bułgarskim w Gorycji i Palmanowie.

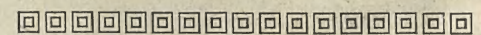
W drodze powrotnej samochód Jego Cesarskiej Mości podczas próby przejechania przez jeden z płynących obok Isonzo strumieni utkwil w nim.



Cesarz Karol.

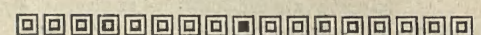
Strzelec przyboczny Jego Cesarskiej Mości Reizenbichler oraz wachmistrz gwardyjski Womek chcieli zanieść Cesarza na brzeg. Przytem broń, na której strzelec przyboczny się oparł, złamała się i prąd uniósł strzelca. Jego Cesarska Mość nie opuścił strzelca w tem niebezpieczeństwie i przytem również został porwany przez wezbrane fale rzeki.

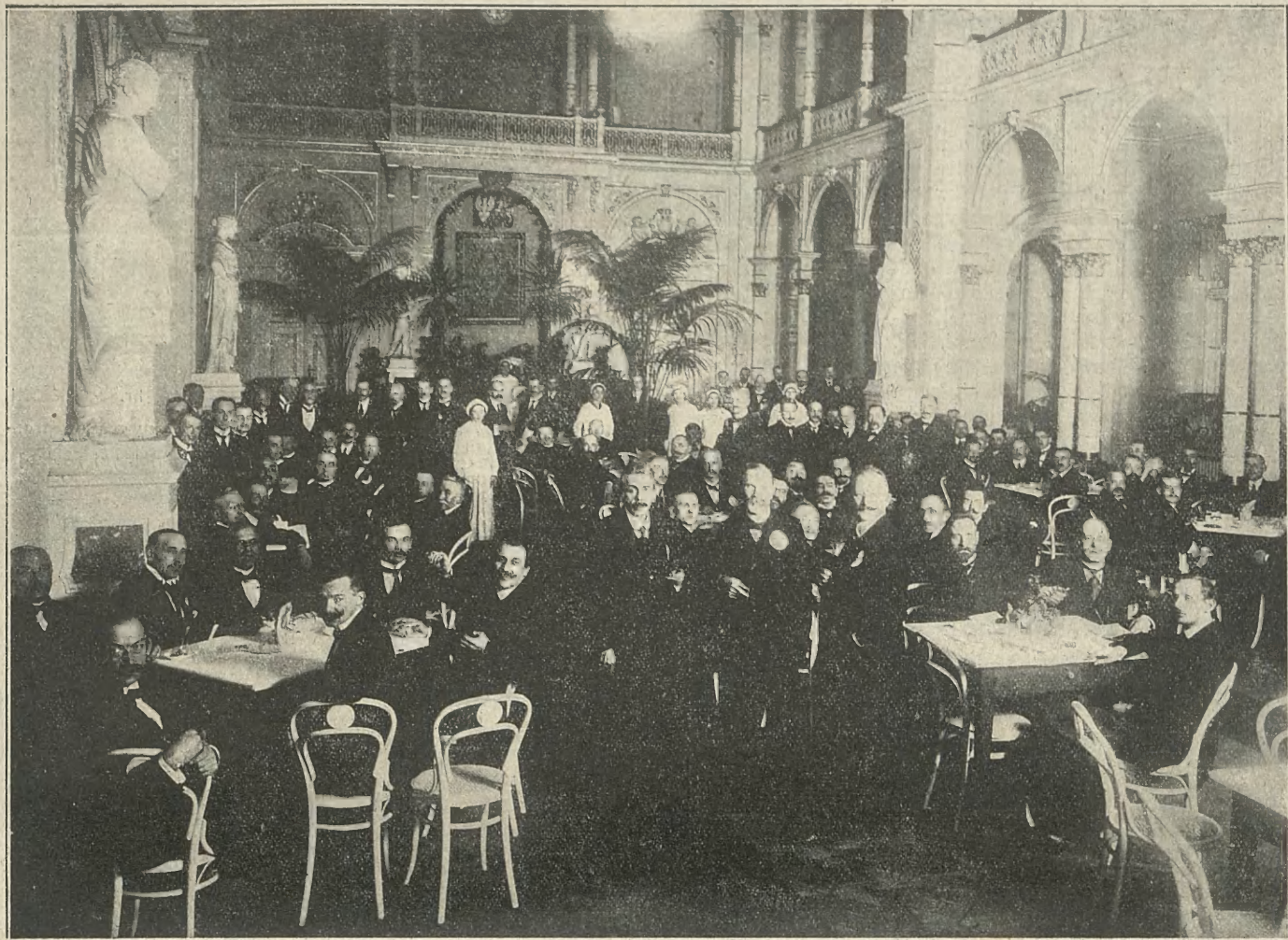
Dzięki pełnemu poświęceniu, bezprzykładowemu wiernemu zachowaniu się jego świty, przedewszystkiem zaś księcia Parmy, który natychmiast rzucił się w rzekę, po dłuższych usiłowaniach wyniesiono cesarza na ląd.



Pamiętajcie o wpisach szkolnych.

Wszelkie ofiary przyjmuje Administracja „Świata“.

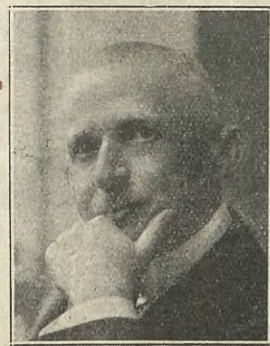




Zebranie towarzyskie w Sali kolumnowej Magistratu m. st. Warszawy, celem wspólnego zapoznania się. Na pierwszym planie stoją: pp. Prezes Warszawskiej Rady Miejskiej mec. Suligowski, wiceprezes dr. J. Zawadzki i radny mec. St. Patek. *Fot. Maryan Fuks.*

Nowy Rektor Uniwersytetu.

Prof. dr. Antoni Kostanecki urodził się w r. 1866 w Myszkwie, w Królestwie. Po ukończeniu gimnazjum realnego w Poznaniu wstąpił na uniwersytet w Berlinie,



Prof. dr. A. Kostanecki.

zajmował kolejno stanowiska: archiwariusza w Międzynarodowym Banku w Berlinie, następnie kierownika biura statystycznego w zakładach chemicznych w Elberfeldzie, prow. Nadreńskiej.

W r. 1901 został profesorem zwyczajnym ekonomii politycznej i skarbowości uniwersytetu we Fryburgu szwajcarskim. W r. 1910 mianowany prof. zwyczajnym ekonomii, socjologii i statystyki Politechniki lwowskiej, powołany został ze Lwowa do Warszawy na katedrę ekonomii politycznej Uniwersytetu Warszawskiego, którą objął w listopadzie 1915 r.

Prof. Kostanecki jest autorem prócz wyżej wymienionej rozprawy doktorskiej, następujących prac naukowych: „Das Aktienindossament“ 1900; „Der wirtschaftliche Wert vom Standpunkt der geschichtlichen Forschung“ 1900; „Der Lagerschein als Traditionspapier“ 1902 (przełożona na język japoński); „Arbeit und Armut“; „Ein Beitrag zur Entwicklungsgeschichte Sozialer Ideen“ 1907. Ponadto w czasopiśmie ogłosił prof. Kostanecki studia: „Dantes Philosophie des Eigentums“ (Archiv für Rechts- und Wirtschaftsphilosophie — 1910) oraz „Boska i Nieboska Komedja“ (Biblioteka Warszawska 1912).

Teatry warszawskie.

Wznowienie „Króla“ w Teatrze Letnim.

Wydaje mi się, że jest to najlepsza komedia napisana w ostatnich paru dziesiątkach lat. Szczęśliwie dobrana spółka pp. Caillavet'a i de Flers'a, dziś przez śmierć pierwszego rozwiązana, jest prymem spadkobiercą Beaumarchais'go. Posiada ten sam dowcip cięty — bez okrucieństwa, frywolny — w granicach dobrego smaku, lekki — choć sięgający nieraz głęboko. „Król“ jest wzorem satyry scenicznej. Autorzy w równej mierze drwią z egzotycznego majestatu króla Serdanii, jak z leaderów socjalistycznych Republiki i starego arystokratycznego mamuta. Czynią to zaś w sposób tak powabny, tak rozkoszny, że nikt nie czuje się dotkniętym.

Gdy „Król“ pierwszy raz wystawiony był w Warszawie, zespół Teatru w Saskim Ogródzie posiadał takie siły, jak pp. Gasińskiego, Fertnera, panią Cwiklińską. Obecnie w składzie trupy wojna uczyniła poważne szczyrby. Brak zwłaszcza pierwszych dwóch artystów daje się odczuć dotkliwie. P. Kuncewicz nie był w stanie zainicjować wspomnienia p. Ga-



sińskiego, p. Grabowski, artysta naogół wyborny, doskonały nabytek tej sceny, nie posiada jednak tego humoru i komizmu, jakie w zgoła wyjątkowej mierze były darem p. Fertnera. Główne role kobiece objęły teraz pp. Gryficz-Mielewska i Brucówna. Obie świetnie wywiązały się z zadania. P. Mielewska stworzyła doskonały typ żony socjalistycznego milionera, która kiedyś była szwaczką, a której z biegiem czasu przypadła zaszczytna misja podejmowania Jego Królewskiej Mości. W kreacji p. Mielewskiej połączyła się szczęśliwie płochosć, płytkość, swoisty sentyment i czarujący wdzięk paryskiej midinetki. P. Brucówna znów umiejętnie podkreśliła wytworność, spryt i czar artystki, która jest jednocześnie wielką *demi-mondaine* a. Pp. Knapczyński i Trapszo stworzyli figury bardzo zabawne, dobrze pomyślane. Całość idzie składnie i może liczyć na długi szereg przedstawień. K.

Na widowni — z tygodnia.



Dr. FRIEDBERG, nacjonal-liberalny, został mianowany wiceprezydentem pruskiego ministerjum, przy boku hr. Hertlinga.



Fr. von PAYER, przewodniczący partii postępowej niemieckiej, wszedł do rządu Rzeszy niemieckiej jako wicekanclerz, pomocnik hr. Hertlinga.



HENRYK hr. POTOCKI, nowoobрани prezes stronnictwa polityki realnej.

Członkowie Rady Miejskiej i działacze społeczni m. st. Warszawy w karykaturze.

Rysował Jerzy Szwajcer.



Win Sikorski.



Dr. L. Babiński.



W. Piechowski.



S. Zaborowski.

Tungstram
najtrwalsze lampki oszczędnościowe.

OD BÓLI GŁOWY



W OPŁATKACH.

Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu ekow o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy znajduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.



Skład Broni

J. SOSNOWSKI

pod firmą
Egz. od 1861 r.

wł. Cz. Lisowski

Warszawa, HOTEL EUROPEJSKI

Poleca bronie kurkowe i bezkurkowe, proch czarny i bezdymny, szrut oraz gotowe naboje ELEY LA CLERMONTE.

WARSZTATY REPARACYJNE NA MIEJSCU.

10429

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 24 listopada 1917 roku.

Nr 47.

Muzea Warszawskie.

(Projekt).

W każdym społeczeństwie nadchodzi okres t. zw. projektomanji. Sombart w dziele swoim *Der Bourgeois* podnosi ten okres, jakij psychologizuje przeczucie energii przedsiębiorczej danego społeczeństwa. Projekty często bywają przedczesne; twórcy ich narażają się na śmiech, gdyż nieraz pomysł nowy zdawać się może czemś nierealnym. W XVII wieku pewien Francuz obmyślił projekt przebicia kanału Suezkiego, z czego się śmiano. Bardzo wielu ludzi często nie rozumieją nietylko projektów, ale wynalazków nowych. Aleksander W., w Persji przebywając, długi czas nie miał wiadomości z Grecji, których bardzo pożył, a jednak kazał przepędzić człowieka, który przyszedł do niego z pomysłem takim, że w ciągu czterech dni będzie miał stale wiadomości z kraju; później Aleksander żałował swego kroku, ale już nigdzie tego osobnika nie mógł znaleźć: być może, człowiek ten wynalazł jakiś rodzaj telegrafu.

Mówię to wszystko dlatego, że każdy człowiek, podający jakiś projekt—narażony bywa na liczne zarzuty, jak np. Balzac, który zamierzał eksploatować kopalnię siarki na Sycylii; ludzie śmiali się z tego, gdyż wyglądało to raczej na rozdział z romansu, niżj na coś realnego, okazało się jednak, że Balzac miał słuszną; kopalnię siarki na Sycylii są dziś czynne. Z tego powodu — zwłaszcza u nas — projektodawca najczęściej wcale wysłuchany nie bywa, choć trafiają się projekty bardzo, że

tak powiem, zyskowne, o których niejednej ci powie — zapóźno: szkoda, że się wtedy ciebie nie posłuchałem.

Dlatego też często projektomanj nie mogą swoich projektów nigdzie ogłosić — i z tego powodu możnaby nowy projekt obmyślić: stworzyć specjalne „Czasopismo dla projektomanów“.

Ale właściwie nie o tym projekcie miałem zamiar mówić, tylko o czem innym, co mianowicie łączy się pośrednio ze sprawą Estetykum, o którym była mowa w art. p. W. K.

Wielkie miasto, jakim Warszawa stanie się w najbliższym czasie, posiadać musi niewątpliwie muzea sztuk pięknych: przynajmniej, nie licząc innych, muzeum 1) rzeźby i architektury oraz 2) malarstwa.

Jaka to ma być rzeźba — i jakie malarstwo?

Gdyby zebrać dzieła rzeźbiarskie i malarskie, jakie znajdują się u nas w kraju w rękach prywatnych, to powstałby może zbiór ciekawy, ale przypadkowy i niepełny. Warszawa za późno przysła na świat i jeszcze później rozwijać w sobie zaczęła potrzebę sztuki, aby mogła dziś pretendować do stworzenia wielkiego muzeum w rodzaju włoskich, paryskich, londyńskich, drezdeńskich i t. d. Skarby te przeważnie w oryginalne są nam niedostępne. Zaznaczam, że mówię tu o malarstwie dawnem i o rzeźbie dawniej. Przypuszczam, że galerja obrazów i rzeźb polskich da się z mniejszym

trudem utworzyć, przyczem chodziłoby tu o możliwie pełną historję malarstwa polskiego na podobieństwo tego, co w Moskwie dla sztuki rosyjskiej uczynił Tretjakow.

Warszawa nie może mieć galerji oryginałów, ale i inne miasta są częściej w tym położeniu. Tak np. Drezno, mające tak sławne muzeum malarskie, nie ma rzeźby tak zgromadzonej, jak np. Paryż albo Rzym. Podobnie Kopenhaga, prócz muzeum Thorwaldsena, nie ma oryginalnej galerji rzeźb. Natomiast zarówno Drezno w *Albertinum*, jak Kopenhaga w *Carlsberg-muzeum* mają niezmiernie bogate zbiory kopij najslawniejszych rzeźb greckich, włoskich i francuskich. Kopie te napotykasz i w wielu miastach niemieckich (w Lipsku, we Frankfurcie, w Kolonji, w Moguncji). Pewna ilość reprodukcji rzeźby greckiej znajduje się i w Warszawie, w zbiorach dawnego wydziału Sztuk Pięknych przy Szkole Głównej.

Chodziłoby o to, aby te reprodukcje doprowadzić do ilości należytej — tak, aby Warszawa posiadała możliwie wszystkie najslawniejsze rzeźby galerji włoskich, Paryża i t. d.; rzeźby zarówno greckie, jak asyryjskie i egipskie, włoskie, francuskie i t. d.

Stworzenie takiej galerji nie przedstawia trudności, przypuszczając, że przyszłe ministerjum sztuki udzieli na jej urządzenie odpowiedniego kapitału, gdyż oczywiście suma, potrzebna ku temu, będzie bardzo znaczna.

W Dreźnie (i w Berlinie, *National Gallerie*) pierwsze posagi, kopjowane w Rzymie i w Madrycie, były robione ręcznie przez artystów, co datuje się jeszcze z XVIII w., jednakże już od połowy XIX w. obmyślono maszyny, które wprost mechanicznie

reprodukuje dany posąg (zazwyczaj w gipsie) — poczem artysta tylko uzupełnia robotę maszyny. Kopja w ten sposób jest równoznaczna z oryginałem. W ten też sposób może się w muzeum warszawskiem znaleźć zarówno Wenus z Milo, jak bogowie z Panteonu w Rzymie, Colcone z Wenecji i Mojżesz Michała Anioła — skrzydlate byki z pałaców Daryusza — i nawet dzieła Rodina, jak to mamy w Kopenhadze.

Takie muzeum rzeźby miałyby przede wszystkim charakter pedagogiczny (zarówno dla młodzieży ze szkoły sztuk pięknych, jak i wogóle dla publiczności, która nawet nie przeczuwa podobnych rzeczy. Co do młodzieży artystycznej, to częściowo takie muzeum wyzwoliłoby ją od wędrówek po szkołach zagranicznych i ochroniłoby ją od wpływów chwilowej mody, która w Paryżu np. może się wiązać logicznie z ewolucją sztuki, ale w Warszawie jest wyskokiem i próżnym naśladownictwem.

Toż samo dotyczy muzeum architektury; z tą oczywiście różnicą, że posągi można i należy dać wielkości naturalnej, gdy sławne budynki i gmachy, akropole i kapitoły, świątynie greckie, indyjskie i gotyckie — muszą być podane w miniaturze; za wzór może tu służyć zbiór modeli świątyń sjamskich w Trocadero paryskim.

Trudniejsza jest sprawa z malarstwem. Można by zgromadzić kopje olejne na płótnie, wykonane przez artystów, którzy po wszystkich galerjach siedzą i reprodukuje arcydzieła; we Włoszech są nawet specjaliści, którzy np. robią całe życie *Wiosnę Botticelliego* albo *Zwastowanie Murilla*, tak iż dochodzą do wielkiej doskonałości w swoim przedmiocie. Nie można lekceważyć tego rodzaju odtworzeń, jednak oczywiście taka kopja zawsze nosi na sobie pewne cechy kopisty; kopjowanie dla młodego artysty jest rzeczą b. nau czającą, a niektórzy, jak Dalacroix albo Lieberman, kopjowali dla wprawy przez całe życie. Można by nawet młodych stypendystów malar skich w przyszłości zobowiązać, aby przebywając gdziekolwiek w obcym mieście artystycznym — wykonali zawsze parę kopji znakomitych dzieł malar skich dla muzeum warszawskiego, przytem aby ta rzecz była robiona planowo i aby nigdy nie powtarzać tego samego obrazu (chyba wyjątkowo). Słyszałem nieraz zdania przeciw kopjowaniu, że jakoby zabijano indywidualność; ale oczywiście tylko bardzo nikła indywidualność może od tego ucierpieć.

Sądzę, że planując wielkie muzeum kopji, możnaby z góry ułożyć spis jakich półtora do dwóch tysięcy znakomitych płócien — i postarać się o ich nabycie rozmaita drogą: po pierwsze od tych specjalistów, którzy w rozmaitych muzeach zagranicznych kopjują stale jedno lub kilka płócien; powtóre od młodych stypendystów, których Szkoła sztuk pięknych wysyłać będzie za granicę; po trzecie w fotografiach barwnych, gdyż sprawa ta może już być uważana za rozwiązana częściowo.

Parę słów powiemy tu o fotografii barwnej i o stanie obecnym tej kwestji*). Już w r. 1848 Becquerel otrzymał fotografie kolorowe, posilkując się szczególnymi własnościami półchlorku srebra, który w pewnych warunkach wystawiony na działanie światła kolorowego zabarwia się na ten sam kolor. Tą samą sprawą zajmował się w 1869 r. Ch. Cros oraz Ducos du Hauron.

Umieściwszy w aparacie fotograficznym kolejno trzy płyty żelatynowe: czerwoną, niebieską i żółtą — otrzymali oni kolejno wszystkie barwy naturalne danego przedmiotu. Jednakże ten system był wolny, mógł dotyczyć wyłącznie obiektów nieruchomych i barwy nie wychodziły doskonale. Dopiero bracia Lumière w r. 1909 wpadli na taki pomysł, że z trzech płyt żelatynowych robili makę, tę makę miesza li i na nowo przerabiali na płytę żelatynową, która w ten sposób sama je-

*) Korzystam tu z niedrukowanej pracy p. St. Szalaya: *O fotografii barwnej*, wygłoszonej jako odczyt w roku 1913 w Warszawie, w Tow. Fotogr.

dną posiadała trzy barwy główne, przepuszczała wszystkie promienie — i za jednym rzutem dawała wszystkie odcienie kolorów.

I ten sposób jednakże miał swoje niedogodności: dawał on nie kolory naturalne, ale dopełnicze, i dopiero fotografija z tej kłiszy odtwarzała barwy realne. Lecz można było robić tylko jeden egzemplarz tej fotografiji i przytem na szkłe. Owóż ta ostatnia trudność została przewyższoną; obecnie robią się te fotografije na papierze.

Nie została przewyższoną inna trudność: jak gobeliny Szczepanika, tak fotografije Lumière'a mogą być tylko pewnych ograniczonych rozmiarów, także naprz. *Madonna* Rafaela albo *Świeczniki* Siemiradzkiego będziesz miał jedynie w zmniejszeniu.

Pominąwszy tę trudność, wydaje mi się zupełnie właściwem stworzenie takiego muzeum kopji arcy dzieł malarstwa w fotografiach barwnych, które o tyle będą lepsze od najlepszych kopij ręcznych, że bezwzględnie reprodukuje oryginał, nie nie dodając i nie nie ujmując. Dla obrazów miary średniej (np. flamandczyków albo G. Moreau) — jest to może sposób najodpowiedniejszy.

Tak należałoby zorganizować muzeum malarstwa, a właściwie historii malarstwa w Warszawie.

Oczywiście każde z tych muzeów musi posiadać gmach własny, albo też oba w jednym gmachu mogłyby się mieścić.

Wszystko to zresztą jest muzyką przyszłości.

A. L.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

55

„Ten mały Serż“ zaciekawiał ją choćby jedynie dlatego, iż czuła, że jakieś лихо w nim siedzi; panuje ono nad nim i kusi go do złego; zepsuło w nim duszę i ciało. Ten chłopiec czuje to, boleje, cierpi i w bezsilności mści się na innych, na tych wszystkich najlepszych, którzy z wyciągniętymi rękami zbliżają się do niego. A on ich za to wciąga wraz z sobą w przepaść.

— Czy miałabym ochotę przypiąć mu skrzydła i unieść go ku niebu, czy też dać się strącić wraz z nim do piekieł? Piekiło! Brr! Jak to straszny i... nęci.

Znała dokładnie sposób jego życia i jego „szeroką naturę“, polegającą na sprowadzaniu orkiestry do ulubionych jego zamiejskich restauracji, która przez całą noc za kilkaset rubli wygrywała mu jego ulubione pieśni cygańskie. Garsoni za usługę otrzymywali nad ranem po pięćdziesiąt rubli; mały piccolo za paczkę papierosów — dziesięć rubli; a dorożkarzowi na kozioł posełano po dwie butelki szampana.

Jej kobieca intuicja przeszła go całego nawskroś. Jeżeli wyrzuci złoto garściami za okno i daje się rujnować lichwiarzom — to nie z zamiło-

wania do zabaw, których jego chora dusza, pomimo młodości — już nie odczuwa; jeżeli zdradza kochankę — to nie dla uciechy swego zranionego oddawna serca.

Lecz na złość rodzicom traci pieniądze; na złość porzuconym kochankom zmienia miłostki.

Niechaj wszyscy cierpią, kiedy i on szczęścia, ani celu życia znaleźć nie może! Niechaj cierpią właśnie ci, którzy go kochają!

Może czasami boli go to ich cierpienie.

Ale od czegoż szampan, który zatapia wszystko, nawet wyrzuty sumienia! Jego hasłem życia — wyobrażała sobie Irena — musi być:

— Kto się do mnie zbliży — ten wraz ze mną — niechaj ginie!

— Oto jedyny klucz — wywnioskowała — do wszystkich jego szaleństw!

I rozmarzona, wyciągając do jego obrazu ramiona, konkludowała:

— A więc korzystaj z tego, zem szalona: Weź moją duszę!

A wieści o awanturach Serża faktycznie nie były fantasmagorią. W ciągu kilkuletniego pobytu w Warszawie — obliczano, iż zdążył już stracić około dziesięciu milionów.

W budżecie jego wydatków zajmował pokaźne miejsce szampan, którym nie tylko samego siebie upijał prawie od ranka (trudno było widzieć go kiedykolwiek zupełnie trzeźwym), lecz i całą swiętę, kolegów i znajomych, służbę, faworyta deńszczyka i stangreta; wlewał też szampan do kufła swego wierzchowca i do miłki ulubionego jamnika.

Wyliczano codzienne jego przebrane w klubie i coroczne w Monte-Carlo. Znałe były też jego konie wyścigowe, nie tylko z toru mokotowskiego, lecz z zaszczytu przychodzenia drugiemu do mety w Moskwie, Chantilly i Wiedniu.

A najbardziej rujnącą była znana ogólnie poprzednica panny Blanchard, gościnnie występująca w cyrku Cinisello premjowana w Spa piękność, dla której Serż wprowadził z Arabji 12 przepysznych siwych ogierów i z Londynu — Anglika, słynnego ze swej specjalności tressury.

Warszawa pamiętała ów słynny wieczór, silnie reklamowany przez usłużną reporterkę, w którym Serż zakupił dla swej ulubienicy w cyrku specjalne przedstawienie, napelnione gratisową galerją i zaproszoną publicznością do łóż i foteli.

I pysznie wyglądała ta zbudowana na wzór rzymskich aren — rotunda sali, skapaną w srebrzę zawieszonych

wielkich bani elektrycznych, klócających się ze złotem świateł żyrandoli, ze zbitym tłumem, amfiteatralnie otaczającym arenę!

I ten specjalny chłód, idący ze świeżo posypanej żółtym piaskiem ziemi i charakterystyczny zapach sąsiedniej stajni... I te dźwięki cyrkowej muzyki i sztuki akrobatyczne na arenie — wiecznie te same, w wiecznie tej samej mise en scène, pamiętnej każdemu z widzów z tysięcznych wspomnień młodości!

I wiecznie też same koncepty umęczonych clownów w rzucanych zręcznie pod górę nieodmiennych wysokich czapkach pierotów z białej gumy!

Nareszcie wśród tuszu orkiestry, burzy oklasków powstałej ze swych miejsc publiczności — ukazała się ze szpicrutą w ręku „Gwiazda“, cała lśniąca od stóp do głowy brylantami, jakimi nie mogłaby się poszczycić nie tylko księżna Irena, ale i nawet sama królowa angielska!

Cudna z tym swoim, premjowanym w Spa uśmiechem, jakby wprost z nieba spadła do areny cyrkowej! A za jej kłaśnięciem bata, jak za różdżką czarodziejską, wbiegła, dzwoniąc złocistemi dzwoneczkami szkarłatnych czapraków — owa sławna dwunastka śnieżnych arabczyków o sarnich nogach i o pysznej harmonii wygięć karków, z oczami gazeli i sięgającymi kołan jedwabistemi ogonami!

Lecz o dziwo! Po kilku chwilach debiutu, wbrew reklamom i pragnieniom zachwytu — nie było czem zachwycić się. Stawało się jasnym, że cały występ okaże się skandalem.

Z każdą sekundą publiczność przelkonywała się, iż premjowana piękność boi się koni; wskutek tego płoszy je zbytniem nadużywaniem szpicruty, tak, iż pomimo mentor-skiej opieki suferującego Anglika i całego tłumu wyirakowanych cyrkowców — przygotowany z takim mozolem koński kotyljon — roz-pierzchnął się w nieoczekiwanym chaosie po całej arenie.

Gratisowa galerja poczęła sykać; wystraszona publiczność opuszczała fotele z obawy, aby nie być potrąconą przez dwanaście rumaków, które w buncie przeciwko świeżo narzuconej im roli kabotynów — poczęły w rozsypce harcować po arenie, jak gdyby znajdowały się jeszcze w swoich ojczystych stepach Arabji!

Piękna divetta, uderzona kopytem jednego z nich, kulejąc, wynknęła się z areny. A cały wyfrakowany personel cyrkowy z pomocą nadbiegłego dyrektora z wielkim mo-

zołem wprowadził wyszle zupełnie z roli, rozpierzchnięte stado rumaków.

— Wot! kanalja! — syknął nie-nawistnie — wymykając się z cyrku, Serż, błądy, trzęsący się ze wstydu i ze złości.

Śród pustego cyrku z pogaszonymi już światłami — rozlegały się z garderoby tuż poza stajniami — spazmy premjowanej piękności, która pakowała teraz kufry, aby bez pożegnania się z kochankiem opuścić wnet Warszawę — niezdolna przeżyć tu swego wstydu.

A w trakcie tym Serż w gronie kolegów przez całą noc zatapiał w szampanie w zamiejskiej restauracji „skandal“.

I Irena, chodząc po pokoju, zapalała się coraz bardziej do hazardu tej nowej gry:

Oto ten młody chłopak, nałogowiec; źle chowany, rozpieszczony i niedobry, który znał najpiękniejsze kobiety na świecie — teraz jej rzuca na ulicach jakieś nieme wyznania — pożądających oczu.

Dotąd nie kochał prawdziwie żadnej kobiety. Ujarzmić go! Złamać, zmiażdżyć na pył i widzieć go w prochu tarzającego się u jej kolan, gotowego na jej skinienie poświęcić honor i życie — to byłoby bardzo nie-cacem! Gra warta świecy!

— A więc dziś wieczorem go poznaj. Ha, ha! Mam tremę, jak przed walką na śmierć i życie. Jakie to zabawne!

Wieczorem w jedwabistej białej sukni, haftowanej srebrem, z królewskim istic djademem z brylantów na głowie i ze specjalnie na dziś wykupionym z lombardu naszyjnikiem z olbrzymich pereł — wchodziła ze swoim księżęcym uśmiechem do rzęsiście ułuminowanych i ukwieconych apartamentów baronowej.

Pani Gizia, bardzo ładna dziś w swojej białej sukni z czarnymi walsjenami, z pękiem żółtych róż u piersi, w naszyjniku z olbrzymich szmaragdów, stojąc w drzwiach pierwszego salonu, udekorowanego pięknym portretem pań domu, roboty Gandary — przyjmowała z dworską uprzejmością wchodzących gości, którzy następnie grupami ustawiali się w środku grzeplonej sali balowej z kolumnami. Niektórzy sadowili się na ustronnych siedzeniach w sąsiednich mniejszych salonach.

Konstatowano, iż zebrane są tu dziś wszystkie parafje i badano hrabinę Sylwję o nazwy nowo-wchodzących:

— Ależ moi drodzy, nie tylko ja nie wiem, ale i Gizia nie zna wielu

swoich gości; pościagała wszystkich z całego miasta, z wyjątkiem jedynie tych, którzy fraka nie posiadają.

To tak trudno zapamiętać rysy wszystkich ludzi, tembardziej, kiedy ma się wzrok tak krótki, jak ja i ona! Zresztą Gizia — wiecie, jak jest roztrzepana: Jakby uwzięła się dziś, aby przedstawiać mężów ich własnym żonom, a braci rodzonym siostram. W jej salonie — obmawiała swoją krewną — towarzystwo jest zawsze jednolicie — miedjednolicie.

Faktycznie, począwszy od księcia Eustachego, który świecił tu — (rzecz prosta: bez żony!), były zebrane tu dziś wszystkie sfery z koniecznym warunkiem (poza frakiem, o którym twierdziła hrabina Sylwia) posiadania jakiejś jedynej choćby zalety, kwalifikującej do otrzymania karty z zaproszeniem. Tą legitymacją mógł być stary herb, jakiś tytuł urzędowy lub świeżo zakupiony przez Salon Zachęty obraz. Mógł też być nagrodzony na konkursie dramat, lub udana rola w Rozmaitościach; albo dobra partja w Operze, lub reklamowana w dziennikach dobra obrona w sądzie, lub wreszcie sonet, który świeżo zwrócił uwagę w kurjerku.

Świeciły też tu sławy wyblakłe, słońca już zachodzące, a przytem świeże gwiazdki, stare orły i pisklęta. Wszystko bez najmniejszego uwzględnienia duszy ludzkiej, jej indywidualnych wad, cieni, a nawet plam.

Tak w wystawowych olsnach składów z delikatesami poza bardzo drogiemi owocami — pomieszczają za bezcen bardzo piękne brzoskwinie i ananasy z ukrytemi plamami, a w niepewnych bufetach najświetniej udekorowane smakołyki bardzo często... cuchną.

— Znajdź mi taki salon — usprawiedliwiała się przed krytyką hrabiny Sylwii — gospodyni domu — w którymby całe towarzystwo bez wyjątku kwalifikowało się do nagrody Montijona! Zresztą — cynizowała — taki salon byłby djabelnie nudny!

Królowała tu dziś bardzo dekoracyjna, typowa kanapowa hrabina Małoborska, w wielkich wypełzłych piórach na głowie, w zbrukanych aksamitach (jakich używają zwykle w prowincjonalnych teatrach chórzystki w rolach dam dworu), popisująca się francuszczyzną w stylu marszałkowych z powieści Korzeniowskiego i utyskująca:

— Podobno wczoraj odbyło się wspaniałe przyjęcie w pałacu księcia Janusza? Niestety! z powodu cho-

roby córki, którą musiałam pielegnować, nie mogłam wziąć udziału w tej recepcji.

— A czy pani była tam zaproszoną?

— Gdybym miała bywać — wyrwała się zupełnie szczerze — tyłko tam, gdzie mnie proszą, musiałabym tak, jak moje córki, spędzać większość wieczorów sama jedna w domu, w moich trzech źle oświetlonych nafią pokoiłkach w oficynie na 3 piętrze, bez windy.

Jakiś świeżo zaangażowany do Filharmonji kapelmistrz, niby Węgier, a prawdopodobnie Niemiec, lub izraelita — zalił się na niemuzikalność warszawskiej publiczności, omijającej jego koncerty.

Jakiś włoski przejezdny tenor, rozpowiadając cuda o swojej zagranicznej sławie, piorunował na ozębność krytyki. Sekundowała mu doletnia, mocono wydekoltowana dama, pełniąca na obczyźnie obowiązki prawej jego małżonki.

Lecz ogólną sensację sprawiał dziś przejezdny z Petersburga indyjski maharadża z brylantami wielkości włoskich orzechów u gorsu i na wszystkich palcach. Niezbyt świeży 40-letni brunet, czarny, prawie jak murezyn, z piękniemi, jak smoła, oczami.

— Jest podobno adiutantem wice-króla, a właściwie jeneralnego gubernatora cesarstwa indyjskiego i zamieszkuje zimą Kalkutę, latem z powodu upałów — własną rezydencję w Himalajach.

Pani Gizella, której sprzykrzyła się już rola uprzejmie „robiącej honory“ gospodyni, jak gdyby zapomniała już zupełnie o gościach. Z właściwą sobie motylkowatością i płochością — nieporna na nic, co się dookoła niej dzieje, zapalała magłym piorunującym afektem ku indjaninowi, którego widocznie bawił ten jej krzykliwy poryw, bez żadnej maski, właściwy pensjonarkom i zapalłowatym histeryczkom. I z podnieconą, prawie nieprzytomną — bawił się wyniośle, jak syty kot myszka.

Hrabina Sylwia w cytrynowej sukni, podług „ostatniego krzyku“ mody, w naszymniku z opali Lalique'a, kupionych u Boucheron'a, w marabutach i rajerach na głowie — potykała się wśród gości ze swoim face à main, ratując sytuację obecnej, lecz nieprzytomnej już gospodyni domu.

Wreszcie spostrzegłszy Irenę, poznała z kobiecą intuicją po jej królewskim, nic nie mówiącym uśmiechu, iż gość z dystynkcją nudzi się w otoczeniu nic ją nie obchodzących mężozyzn. Podeszła do niej.

— Wszyscy tu dziś nudzą się — prawda?

— Nie uważam tego; sądę, że przeciwnie.

— Ha! Tem lepiej. Lecz czy pani nie uważa, że Gizia jest dziś niemożliwą ze swoim Indjaninem? Poczóż było zapraszać tych wszystkich ludzi, jeżeli jej zależało jedynie na tête à tête z tym Murzynem z pannopticum! Fi! Jakież on straszny! Tak djabeł może w nocy się przyśnić. Czy oni przy zbliżaniu nie farbują tą swoją czarnością?

— Nie wiem, proszę pani.

— Widziałam raz na scenie, jak Otello, oparłszy wśród czułości głowę o Dezdemonę, uczemnił jej całe pierś. A czy Gizia nie mówiła, kto panią prowadzi do kolacji?

— Nie. Nic mi nie mówiła.

— Jest niemożliwie roztrzepaną. Czy pani wie, kogo ona chciała przedstawić dziś pani?

— ?

— Horskiego, ponieważ zapomniała, że on jest panj mężem. Wsiadając do karety, rzuca lokajowi (informując go, dokąd ma jechać) przy nazwie ulicy — nie numer domu, lecz telefonu. Słowo daje. Do kolacji prowadzi panią Serż Pawłow. Widziałam na stole w jadalni kartkę z naszymi nazwiskami.

— Ależ ja go nie znam! Zresztą zdaje się, że go wcale tu dziś niema.

— Ależ on jest; widziałam go tu dziś na tym jarmarku.

— Zapewne kogo innego! Rodzinne roztrzepanie!

— Nie. Ot! Widzi go pani? Ukrywa się tam we framugach drzwi. Zaraz go tu sprowadzę. Nieprzyjemnie łamać pierwsze lody konwersacji przy stole. Niech panj siada tam pod palmą. Będzie wam dobrze. Nie będę wam tam przeszkadzała. Nie cierpi mundurów. Brr! On dit, qu'il est tellement rosse avec les femmes!

— A pani, kto właściwie podoba się — ironizowała dotknięta jej paplaniną Irena.

— Oh! là là! Jestem Messsalina. Nie jeden, lecz dziesięciu jednocześnie.

— Dziesięciu? To daleko mniej, niż jeden — uczyła ją ze znawstwem Irena, rozpromieniona i zmieszana od kilku chwil rozmowy, jak pensjonarka.

Dalszy ciąg nastąpi.



SONET.

*W cichej absydzie zostaliśmy sami,
Tylko się słońca promień wkradł z ukosa,
W biegu skry rzucił w chmurę twego włosa,
Struną radości stanął między nami.*

*Rozgwar ptaszęcy buchnął pod oknami,
Na bluszczach ranna wytrysnęła rosa,
A z serc pieśń szczęścia biła złotogłosa,
Która jest mgnieniem a wiecznością nami.*

*Biała Madonna widziana z ołtarzy:
Słodki półuśmiech smutne obiegi lice,
Kiedy cyprysów czarnych niemej straży*

*Śpiewną serc naszych zdała tajemnicę. —
Dziś myśl z kłesk drogi prawie się nie waży
Szukać ech szczęścia w rzymskiej bazylice.*



Niemiecki Podręcznik o Polsce.

Wyszło już mnóstwo broszur i książek niemieckich o sprawach polskich. Zainteresowanie niemi w Niemczech jest najwidoczniej wielkie, a popyt w księgarni znaczny. Mamy nawet przed sobą książkę, której dr. Reiche jest autorem, będącą rodzajem katalogu rozmowanego książek o Polsce, wydanych w Niemczech; zawiera ona sto dwadzieścia pięć stron formatu ósemkowego.

Jest to prawie — powódz.

W tej masie przeważają dorywcze, polityczne broszury, zawierające różne kombinacje, jakie wojna uczyniła możliwem, a iż pewnością byłoby bezużytecznem. Wystarczy ogólnie powiedzieć, iż nieznanomość niemiecka spraw polskich okazuje się kolosalną, i że wśród nas, którzy wyrobiliśmy sobie dobre pojęcie o gruntowności niemieckiej, budzi ustawiczne zadziwienie.

Oceniać też tej masy bibuły zaczerpniętej, gdzie imię Polski tyle razy brane jest nadaremnie, nie byłoby pewno możliwem, a iż pewnością byłoby bezużytecznem. Wystarczy ogólnie powiedzieć, iż nieznanomość niemiecka spraw polskich okazuje się kolosalną, i że wśród nas, którzy wyrobiliśmy sobie dobre pojęcie o gruntowności niemieckiej, budzi ustawiczne zadziwienie.

Jednak winniśmy niemieckiej myśli poznawczej oddać tę sprawiedliwość, iż ignorancji nie uważa za wygodne łożo do wypoczynku. Wysiłki, aby ją rozproszyć, są, jak widzimy z samego wykazu liczbowego, wielkie. Nie wszystkie, zapewne, są udatne. Już tak pracowicie zestawione dzieło p. Cleinowa o „Przyszłości Polski“ zaświadczyło, iż stapanie po obcym gruncie jest trudne nawet i wtedy, gdy pilnie notuje się wszystkie mo-

żliwe daty i zapisuje wszystkie dostępne fakty. I wtedy myśl nie dość mężna i krytyczna zagubić się może w perspektywie, złudzona widzialnemi rozmiarami, które zbyt często nie odpowiadają proporcjom domiślości.

Z tej masy winniśmy jednak wybrać świeżo wypuszczoną na rynek księgarski „Handbuch von Polen“, która niezawodnie pochlebnie świadczy o ciekawości i zdolności niemieckiej. Dzieło to jest owocem pracy zbiorowej uczonych niemieckich, otwiera się krótką przemową generała von Beselera, zawiera osterną i rozdziałów i przyobleczone jest w szatę zewnętrzną, jak na warunki wojenne, luksusową. Map i ilustracji bardzo wiele. Ułożono materiał bogato w sposób podręcznikowy, który ułatwia praktyczne użytkowanie książki. Nie brakuje tu zresztą pewnych oryginalnych przytoczeń, w skromnej, oczywiście, mierze dorzuconych do znanych już źródeł, a u wartościowanie których zostawiamy naukowej krytyce. Jest zaś pewnem, iż, aby uczynić możliwem tak szybkie wydanie dzieła informacyjnego o takim planie, musiały być wykorzystane głównie i przede wszystkim prace polskich uczonych. W spisie nazwisk, dołączonym do dzieła, spotykają się też one co krok. I mamy wrażenie, że pewne chętelności, jakie zdarzyło się nam czytać w prasie niemieckiej w momencie, kiedy uczeni niemieccy przystępowali do swojego dzieła o Polsce, ustąpiły miejsca słuszniejszym uczuciom po poznaniu tego, co z nauki polskiej wypadło im do tego „Handbuchu“ pociępnąć.

To zbiorowe dzieło jest pierwszą pracą osobnej Komisji Krajoznawczej, związanej w kraju naszym przy władzach niemieckich. Powstała ona pod wpływem zeznania, które się od samego nie-

892
mał początku wojny uświadomiło, że w Niemczech wie się o wschodzie „viel zu wenig“, jak mówi przedmowa, a specjalnie o Polsce Kongresowej prawie nic. To zeznanie rosło, w miarę jak wojska niemieckie posuwały się na wschód, a władzom niemieckim coraz dotkliwiej brakowało pewnych podstaw do orientacji i sądów. Geograf berliński, prof. Penck, podniósł pierwszy tę sprawę, a znalazłszy poparcie u p. generalnego gubernatora warszawskiego, przyczynił się do powstania na początku 1916 r. wspomnianej Komisji Krajoznawczej, która sobie wzięła za zadanie opracowanie podręcznika o naukowym charakterze wprawdzie, jednakże „so rasch wie möglich“ (tak szybko jak to jest możliwe). Uczeni niemieccy zaprosili do pomocy polskich uczonych, a mianowicie pp. Gorczyńskiego, Leskiego, Lewińskiego, Olszewicza, Tura, Wóycickiego i panią Kamińską, i korzystali przytem ze zbiorów bibliotek trzech uniwersytetów polskich, Krasieńskich, Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, dzięki czemu wydanie „Podręcznika o Polsce“ stało się możliwem niespodziewanie szybko.

Kilka pierwszych prac wyszło z pod pióra prof. Friederichsena. objaśnienia fonetyczne naprzód, starając się dać możność czytelnikowi niemieckiemu wymawiania nazw polskich; a potem rozdział o Rozwoju Terytorjalnym i rozdział o Rozwoju krajoznawstwa w Polsce. Nie brakuje tu rzeczy, mających ogólniejszy, a nawet polityczny charakter. Autor zatrzymuje się np. nad zagadnieniem, zaktualizowaniem przez wojnę, a tak mocno sformułowanym przez Naumanna, „Europę środkową“, albo może lepiej: „Środka Europy“. Dawniejsze niemieckie poglądy okazywały tendencję uważania za taki „środek“ tylko Niemcy, niemiecką część Austrii, Szwajcarię i Holandję. Ale w 1905 roku Parisch rozszerzył nieco ów idealny środek, włączając doń Węgry i północne części Bałkańskiego półwyspu, co wywołało pewną wrzawę. „Obecnie nauczyła nas wojna światowa, mówi prof. Friederichsen, że ta rozszerzona Europa środkowa jest nie tylko idealną konstrukcją geograficzną, ale praktyczną koniecznością“. I tę konstrukcję, wedle modnej konieczności krojoną, wypada rozszerzyć.

— A do tak rozszerzonej Europy środkowej należy bezwzględnie i Kongresowa Polska.

Jej krajobraz wprawdzie pokrewnym jest raczej wschodnim obszarom, ale stało się to pod wpływem politycznym rosyjskiego systemu panowania. Wpływy i prawa geograficzne bynajmniej nie czynią tych zewnętrznych szat kraju koniecznością. Fakt, iż znaczna część środkowej Wisły, jak i ujście Dunaju były w rękach rosyjskich, zaważyć tu musiał.

Polska Kongresowa (o niej w całej książce jest mowa w specjalny sposób), choć dość często nie udaje się autorom w ten sztuczny sposób ograniczyć swojego przedmiotu) posiada, wedle prof. Friederichsen, charakter wybitnie *przejściowy*.

Występuje to zawsze, niezależnie, ja-
kimi linjami podzielimy karty Europy.

Prześciowość będzie się unaoaczać,
jak właściwa charakterystyka kraju pol-
skiego.

P. Kölzer pisze o klimacie Polski
Kongresowej. Swoje dane opierał on w
wielkiej mierze na pracach p. Gorczyń-
skiego. Przytem, co zasługuje na uwagę,
jako nowe źródło, korzystał też z wie-
domości, będących w posiadaniu miej-
scowej komendy aeroplanowej. I ten u-
czony uwidacznia prześciowy charakter
klimatu Polski Kongresowej, pośredni po-
między lądowym a morskim. Linja prze-
chodząca przez Warszawę może być
przyjęta za środek tej charakterystyki;
od niej na wschód postuwamy się ku kli-
matowi lądowemu, na zachód ku mor-
skiemu.

To sprawia, że granice klimatyczne
Polski Kongresowej nie są w tych kierun-
kach dość ostro nakreślone. Natomiast
wyraźniej występują one ku północy,
gdzie klimat nabiera wyraźniejszych
cech nadmorskich, i ku południowi, gdzie
górski wpływ Karpat występuje charak-
terystycznie.

W podobnym duchu prowadzone są
badania świata roślinnego przez p. Paxa
i zwierzęcego przez p. Paxa juniora, ob-
ficie ilustracjami dopełnione. (P. Schultz
pisze o ludoznawstwie. Są tu krótko ze-
brane liczne wiadomości o obyczajach
polskich. P. Praesent pisze o mieszkań-
cach i ich osiadłości. Tu jednak w szcze-
gólny sposób szwankować się zdają ma-
py Polski Kongresowej, ponieważ bez in-
formacji poglądowych o osiadłości ziem
sąsiadujących z Polską Kongresową nie
zbyt wiele one powiedziec ciekawszemu
czytelnikowi mogą.

Nie piszemy tu bynajmniej krytyki
tej pracy. Zostawiamy ją ludziom zawo-
du. Chcemy dać tylko parę informacji
czytelnikowi i zamotować pierwsze wra-
żenie. Pilności i pracowitości autorom
nikt pewno nie odmówi. Ale też nikt pe-
wno nie pominie uwagi, iż w tak szcze-
gólny sposób zupełnie przypadkowymi
linjami ograniczony przedmiot stał się
ułamkiem, który nawet w rękach rzetel-
nych uczonych raz po raz sprzecznie się
przeciwstawia z prawdziwymi naukowymi
metodami, jak je rozwinęła i usankcjo-
nowała wiedza nowożytna.

Demil.

Stanisław Falkiewicz.

NOWELA.

Ordynans bojowy.

2

Odszedł. Niepomierne zadowo-
lenie i radość rozpierały mu piersi.
Dotąd był poza etatem kompanji.
Szedł z nimi, jadł i sypiał, lecz w
księdze kompanijnej u sierżanta nie
figurował, ani nie był wliczony do
żadnego plutonu. Służył też żadnej
nie pełnił dotychczas. Bo pomoc przy
kuchni, czy usługa jaka starszyźnie—
to nie służba żołnierska. Z własnej
woli mógł wpaść na placówkę, skąd
zanosił nieraz meldunki do komendy,
lecz byle najmniejsza zmiana humo-
ru, a w każdej chwili mogli go sro-
motnie przepędzić.

Dziś ze strzelbą na ramieniu peł-
nił wartę przed kwaterą komendanta.
Prostował się i piersi wydymał, aż
bluza w szwach trzeszczała. Dużymi
krokami przemierzał równomiernie
przestrzeń od jednego węgla chałupy
do drugiego. Ani pary z ust nie pu-
ścił, gdy go hurmą kadrowcy oto-
czyli i z pierwszej posługi żołnier-
skiej szepcąc pokpiwali.

Za szybą przy świecy kome-
dant pisał list.

„Wielebny Księżu Proboszczu.

Z przykrością donieść muszę, że
na postoju kompanji mojej w ple-
banji zaszedł godny pożałowania
wypadek. Wraz z kompanją znikła
onegdajszej nocy z pokoju księdza

proboszcza dubeltówka i pas z la-
dunkami. Właśnie w tej chwili wino-
wajca — najmłodszy żołnierz, który
do dziś bezbronny szedł i dzielił z
namą dolę wojenną — odbywa karę
ze strzelbą księdza proboszcza na
ramieniu i z całym rynsztunkiem na
plecach. Donoszę również, że żołnierz
mój poczuwa się do winy i solennie
przyrzeka, iż po pierwszej bitwie,
gdy tylko zdobędzie karabin, strzel-
bę księdzu proboszczowi dobrodzie-
jowi odeśle. Łączę wyrazy głębokie-
go szacunku...”

Kielce. Na dziedzińcu Hotelu
Polskiego stanęli dziwni goście. W cie-
niu pod ścianą piramidy karabinów
i przytulony do nich rząd plecaków i
tobolków podróżnych. Strzelecka
warta obok pod pręgierzem oczu cie-
kawych, szpiegujących z okien hote-
lowych. Na kamieniach spoczął plu-
ton kurzem ostatniego marszu okry-
ty. Na środku, nad płonącym ogni-
skiem na trzech żerdziach kocioł wi-
szący.

Na Staśka wypadła dziś kolej.
Krzęta się koło ognia, polana dorzu-
ca i chochlą czasem zupełnie zamiesz-
cza. Czarne i brudne ręce. Twarz potem
szperlona spokojem technie.

Chwilami poprzez na oścież o-
twartą bramę gwar z ulic doleci, do-
rożki turkot zbłąkanej, czy końskich
kopyt w galopie grzechot. Lecz nie-
bawem głosi milkną i ulice zapada-
ją w letargiczny sen, ulewą słońca
południowego spowite.

Nagle strzał jeden, drugi buch-
nął na mieście. Przeciągły terkot ka-
rabinu maszynowego. Znow kilka
salwą ogłuszającą. Cisza. Samocho-
dowego motoru warczenie. Znow
strzały.

Porwali się chłopcy z pod muru
do karabinów. Komendą były pierw-
sze strzały.

Stasiak cisnął chochlę o bruk
i pędząc, w bramie strzelbę z ramie-
nia gwałtem ściągnął. Czapkę rze-
mieniem strąconą w drodze zgubił
i — ściskając broń w rękach — wy-
padł na środek ulicy. Spojrzał w
stronę lecących strzałów i ech roz-
głośnych, głucho toczących się bru-
kiem i ścianami domów. Kilka grup
stłoczonych pod murami i u bram.

Ledwie miał czas uskoczyć na
trotuar. Błyskawicznie złożył się,
przygarbił — mierząc w nadzieją-
jący z trzaskiem samochód. Na dzie-
sięć kroków za dwa kurki szarpnął.
Buchnęły dwa strzały naraz... Co
dalej — nie pamięta.

Potoczył się bowiem na bruk.
Gdy go chłopcy podnieśli z troską w
oczach, samochodu już nie było. Huk
strzałów i ech ucichł.

— Żyjesz, Stasiak? Zuch z cie-
bie!

Rozglądał się łakomie po wszy-
stkich. I nagłym ruchem odebrał
strzelbę z rąk kolegi.

— A samochód?

— Zdrow uciekł.

— Oficer?

— Gęba mu po twoim strzale po-
czerniała i opadła. Ale ty krwią plu-
jesz, Stasiak...

— To nic.

W kilka godzin potem cały pułk
rozbrzmiewał opowieścią o dwu
strzałach śmiertelnych Staśka, w ca-
łym mieście podziwiano przytomność
umysłu i odwagę chłopca. Wiczo-
rem, gdy szedł za obowiązującą głową,
panny powtarzały, pokazując żołnie-
rza znajomym, historję spotkania z
samochodem i z chmarą kozaków.
Szablą cięty i obandażowany już
chodzi...

— Jakaś w nich siła cudowna,—
dodawała z westchnieniem panna Ja-
dzia.

— Coś, jak w mitologii, pamię-
tasz? Giganci, ciosami śmiertelnymi
na ziemię powaleni, natychmiast u-
zdrowieni zrywali się do dalszych
zapasów z Zeusem...

Stasiek szedł wzdłuż alej ogrodowej spokojnie i z godnością, choć ból serdecznie rwał szczękę i twarz mu pod bandażem opuchła.

II.

Wzdłuż Wisły na północ podążały kolumny ludzi, armat i wozów. Kieleckimi wzgórzami, rzymskimi sandomierskiej ziemi, szlakami świeżo wydeptanymi i drogami, wiatraków skrzydłami znaczone, w bory radomskie. Przez łyse grzbiety gór, pustaci i gołe kamieniska wapienne, kędy wichry jesienne hulają, chmury w dnie sine i dżdżem rozelkane targając, poprzez bagniste szły rozlewiska rzek i łany owsa żrącego. W piachach i błocie rozkisłym brnęli żołnierze, a wozy i armaty grzęzły po osie.

Łańcuchy mostów zczerniałych i popalonych przechodzili, jakie straże przednia białymi, świeżo ściętymi belami latała. Wieże kościołów mijały, na horyzoncie sterczące, wsie głuche, wymarłe i brudne, wśród bezdroży pochowane miasteczka.

Nocami łun wykwitających baldachymy znaczyły krawędzie sił i fal, wykreślały kierunek przyptywu. W dzień słupy dymu, pogorzeliśki ślady, kretowisk okopowych linie łamane. Po drogach spotykały ścierwa koni, o głowach z grubą ociosanych, z oczami dużymi, bielmem niebieskawym, jak opale, zasnutymi.

Wschody i krwawe zachody pozdrawiali żołnierze, chmury kruków i wron kołujące, wichry i słońca jesienno łaskawe błogosławieństwo.

Nowymi korytami płynęły rzeki i strumienie bez końca. Wojska szły na północ cicho, upiornie. Wieczorami tylko i wczesnym, oszronionym rankiem stłumiony gwar, żorawie studziennych skrzyń i koni rżenie zdradzały miejsca postoju.

Jeden długi marsz wojenny, jak jednolita bezkresna taśma, lekko dniami coraz smutniejszymi i nocami centkowana. Wiekę trwający, żadnym zdarzeniem nie przerwany, jak by najprostszym gościńcem ciągnący pochód. W nieznane. Na rozgłośny, śmiertelny i rozstrzygający bój. W zmierzchu długie jesienne, na bladym nieba skłonie wyrastało widmo stolicy i cień.

Powolne, ledwo dostrzegalne zmiany kładły się dokoła w każdy ranek, południe i wieczór. W godzinny smętku i zadumy przedewszystkiem, gdy żołnierz karabin i rymsztunek z utrudzonych pleców składał i szedł wychnąć, by kwiatem ostatnim, banwą łąki, lub drzewa kształtem myśl rozweselić. Po lasach i par-

kach zmiany te niespodzianie w niektóre dni tak uraziły oczy, że duszę lęk przejmował. — Czy oczu przemęczonych i zestarzałych uluda to i przywidzenie? — Czyż też majaki z innego świata, gdzie trwa jeszcze zamarła pogoda godzin, równo płynących, uśmiechy rzyśk spłowiących i po sadach liści i owoców powolne dościganie? — Sen i baśń innych czasów i ludzi wczorajszych...

Dziwne obrazy i zdarzenia stawały niespodzianie w marszu. Ozimie rzucający chłop w zbrojony, pachnący zagon. Błękitny, kędzierzawy dym od sadów i woń gotowanych owoców. Pieśni uroczne, przy ziemi ślaniające się pod chłodnym, zsiniałym zrębem lasu. Na kartofliśku kobiet pochylonych, kopaniem zapracowanych zawodzenie. Kobierce wrzosowisk liljowych, zielonkawy blask pod konarami sosen i woń pleśni po lasach. Polany zaciszne, ostatnią zagubioną garścią promieni pieczęzane...

I w wichrów huraganie z czarnej, zmierzchem omroczonej doliny wychylały się na wzgórze pod rubinową zorzę czarne sylwety żołnierzy, kolumnami kroczących, armat baterie, konnych upiornie, duże widma i wozów nieskończone tabory... Zachwył raził oczy, w zorzę wpatrzony, i zaduma pochylała głowy nad powtarzającą się na tej ziemi niecodzienną chwilą. W wichru smaganiach i skowytach odzywały się sztandarów z palmieci i snów chłopców wyczarowane łopoty.

W dnie i nocie coraz dłuższe na północ szły zbrojne szeregi.

Porwany płynął Stasiek na fali. Nie pamiętał nic, ani nie czuł, jak tylko rytm olbrzymiej rzeki, jakiej drobna struga był pułk strzelecki, jeno rozkołysanie i miarowy oddech tych tysięcy dziesiątków i setek. Pławił się i nurzał wszystkimi zmysłami i duszą całą w powodzi, której każdy biał i wir, każdą falą i murtów skręty były przemyślane i rozkazem oznaczone.

Poza służbą ordynansa bojowego w sztabie pułku, dokąd się dostał po wypadku kieleckim, pozostawało dość czasu wolnego. Nawet rozwożenie odpraw i rozkazów po bataljonach, w długie kolumny marszowe rozrzuconych, szukanie zagubionych, w błotach i bagnach nadrzecznych tarzających się taborów, pozostawiało wiele chwil radości, bez troski i niespodzianek.

Na karym mierzynku, jak kobuz, okrażał w poranki mgłą zasnutą, wymurzającą się ze wsi, zaspane, szare kompanie, podawał kierunek marszu, czasem nazwę najbliższego postoju

i nocnej kwatery. Wiadomością ję sztabu dzielił się nieraz i dalej leciał jak opętany, by z pod drzew podwiejskich i stodół wytaczające się wozy w łańcuch długi pozganiać i na piaszczyste drogi poprowadzić.

A że nie obeszło się bez zatarłów, przekleństw i pokrzykiwań, niczyja w tym winą. Ot, w gardła trzeba było nieraz przed drogą tchu zaczerpnąć. W niejednym bowiem ranek ludzie naczczą w marsz dzienny ruszali, by wieczorem późnym dopiero w wioszczynie cichą na kwatery zapaść i ogniska pod kotły rozpalić.

Raz natknął się na stramacką, porządkiem i ładem świecąca kompanię saperów. Wieczorem przy podziale kwater, kiedy to piechotą zwyczajna, a cóż dopiero saperzy, z głodu i przemęczenia bywa zła i podrażniona.

Geś miósł pod pachą — jak w starej piosence żołnierskiej. Baba skamlała i o zmiłowanie prosiła. Licho nadało, srogiego komendanta saperów. Zaareztował, geś babie oddał i pod karabinami skutego do sztabu odesłał.

Do raportu potem przed samym Komendantem Głównym miał stanąć i karę wedle rozkazu za geś, której nawet nie skosztował, odebrać. Jednak w ciągłym bez wytchnienia marszu sprawa się w drodze zapodziała i o geś skradzionej pamięć. Nie zagasił jeno żal do saperów i o honor żołnierski sponiewierany twarde pretensje.

Po drogach radomskich, gdy kłusem mijał kompanie, to ten, to ów towarzysz i przyjaciel poznawał go i serdecznym głosem pozdrawiał.

— Stasiek, żyjesz?

— Jak ci w gębie, gamoniu?

Roześmianymi oczami chwycił słowa w biegu i serdecznie odrzucał. Z Kielc, czy z Oleandrów jeszcze znajomy. Raz brata starszego głos poznał uradowany. Z uzupełniającym bataljonem przywędrował. Wieczorem, przy końcu marszu dziennego pod Ćmielowem bataljon przypadł do pułku i wieści z Krakowa przyniósł. Mroczne lasy w cień skryły braci, gdy obok biwaku do późnej nocy gwarzyli.

W dni następne podążały kolumny ostepami leśnymi na Bogorję i Bałtów, koło mógł powstańczech, krzyżami dużymi, samotnym znaczonych. Szlakiem Czachowskiego szły nad rzekę Kamienną, by w połowie października wychylić się z borów pod Radomiem i ruszyć na Zwolen ku Wiśle.

Dalszy ciąg nastąpi.

Prolegomena do „Pana Tadeusza”.

Twórczość Mickiewicza niepokoi już kilka pokoleń. Daje promienne wzloty ducha, prowadzi na szczyty dumiań i wzywa do rzetelnego poznania źródeł i ująć tej mocy fatalnej, która zwie się w dziejach ducha polskiego: Adam Mickiewicz.

Poszczególne też dzieła Ad. Mickiewicza znalazły zamiłowanych badaczy i ewangelistów. O Mickiewiczu posiadamy już obfitą literaturę. Czy wszystko jest już wyjaśnione i zbadane? Zapewne, znajdują się jakieś nieznanne szczegóły z biografii lub też dzieła jego ducha. A zresztą gdyby się nie znalazły, Mickiewicz, jako twórca i człowiek, nie potrzebuje już żadnych nowych rewelacji. Główne rzeczy są już ustalone. Przyczyniły się do tego sumienne studia takich badaczy, jak J. Kallenbach, T. Pienni, Wł. Mickiewicz, W. Spasowicz, St. Tarnowski, P. Chmielowski, S. Witkiewicz. Listy pracowników nie wyczerpują przytem bynajmniej te nazwiska. Trzebaby bowiem obok nich postawić wszystkie najznakomitsze imiona pisarzy polskich od dwóch pokoleń.

Mimo to jednak i dziś twórczość Mickiewicza nie przestaje zajmować uczonych. Dowodem czego praca prof. S. Windakiewicza, poświęcona „Panu Tadeuszowi”. Tytuł jej: „Prolegomena do Pana Tadeusza”.

Jest to sumienne, pełne erudycji studjum, pragnące za pomocą bardzo drobiazgowej analizy ustalić drogi twórcze muzy Mickiewiczowskiej przy tworzeniu tej epopei, jak również chodzi też prof. Windakiewiczu o wykazanie wszystkich możliwych filiacji co do tematu, osób i tła.

Czy metoda ta jest racjonalna? Pytanie to musi się nasunąć siłą rzeczy po przeczytaniu pracy dr. Windakiewicza, gdyż we wstępie pisze autor: „W pracy niniejszej przedstawiam analityczne studjum nad „Panem Tadeuszem”, odmienne (nie) od dotychczasowych a bardzo świetnych ocen naszej epopei”. Dalej jednak zaznacza: „Trudno mi było także ustalić właściwe problemy”.

Książka jednak składa się z podrozdziałów, które już w tytułach swoich zawierają metodę analiz dr. Windakiewicza. Przedewszystkiem więc na pierwszym miejscu znajdujemy rozdział zatytułowany „Czas pisania”. Jest to stwierdzenie, że Mickiewicz epopeję swoją pisał bardzo pośpiesznie i sprzedał ją na piu. Nie wiedział jeszcze, jak skończy się

jego opowieść — a już paktował z wydawcą. Dowiadujemy się też, że współpracownikami byli: Ogiński, Rzewuski, Witwicki i Domejko. W pieśni czwartej całe ustępy należą do Witwickiego.

Prof. Windakiewicz tak charakteryzuje przytem rzekome wpływy:

„W utworzeniu tego odrębnego świata najsilniej oddziałał na imaginację Mickiewicza Scott, *dopomagając mu do ułożenia fabuły i zwracając uwagę na ważność i sposoby charakterystyki poszczególnych figur*. Następnie wiele skorzystał nasz poeta z Goethego, realizując jego problem podniesienia nastroju sielanki do wysokości epopei. Niezbyt stangany jeszcze życiem, w tym wieku co Tasso a mieszkoniem wcześniej, niż Goethe, Wirgilijusz, a cóż dopiero Cervantes, zebrał się do utworzenia swej „historii szlacheckiej w dwunastu księgach wierszem” i miał tyle talentu i siły twórczej, aby dzieła w ciągu piętnastu miesięcy dokonać” (str. 215).

Nie poprzestaje na tym określeniu. Powie bowiem prof. Windakiewicz: „Zauważyć jednak należy, że żadna figura w Panu Tadeuszu nie jest kopją, żadną sceną lub opisem potwórka” (223). Z czego należałoby przypuszczać, że cała książka dociekań została skonstruowana tylko dla dowiedzenia tej myśli. Ale w takim razie czym jest metoda analityczna prof. Windakiewicza? Rozdziały: „Opis kraju”, „Studjum starożytności”, „Tradycja ustna”, „Literatura polska”, „Tło historyczne”, „Motywa powieściowe”, „Od sielanki do epopei” rzeczy tej nie wyjaśniają. Autor stara się bowiem dla najdrobniejszej rzeczy znaleźć równodowodnik w literaturze europejskiej lub polskiej. Świadczy to, że chciał w „Panu Tadeuszu” odnaleźć reminiscencje, które uważa... za nieistniejące. Jako dowód niech posłuży następująca definicja choćby sędziego:

„Sędzia — wzorowy i gościnnie gospodarz, dobry stryj i brat, typ polskiego szlachcica, wzorowany na „Panu Podstolim” Krasieckiego, może trochę „Szlacheciu” Zbylitowskiego, „Panu Rewieńskim” Rzewuskiego, Ewerardzie Waverleju Scotta. W kompozycji Mickiewicza zjawia się on na miejscu ojca Hermana z sielanki Goethego” (str. 215).

Albo też Zosia. Prof. Windakiewicz tak ją charakteryzuje:

„Zosia — uroczą panią wiewiórkę, z sercem prostym i gorącym, do wsi przywiązana, wychodząca za ledwie z zacisza domowego, *wzorzona* na Luizę Vossa, Virginiję Bernardiną de Saint-Pierre, Halinę Brodzińskiego, poniekąd także na Djanę Vaughan Scotta” (str. 216).

A wiemy przecież, że Mickiewicz swoją Zosię tworzył na podobieństwo żony Odyńca. Pisał przecież w liście: „Zofiji twojej całuję ręce. Miałem ją często na myśli, malując heroinę poematu mego, Zosię (Korresp. I, 143)”.

Skoro wiemy, na kim była wzorowana bohaterka Mickiewicza — to poco szukać literackich filiacji? W ten sposób możnaby znaleźć dla Zosi taką ilość prototypów czy wzorów, ileby się tylko zechciało. Rzecz bowiem polega tylko na skrętności i umiętności gromadzenia tego materjału.

Interesujące jest, gdy prof. Windakiewicz pokazuje, jak Mickiewicz parafrazował poczciwego Bakę. Ciekawą też analizą Mickiewiczowskiego pola wiadomości z zakresu różnych dziedzin życia czy wiedzy. Ale w jakim celu prof. Windakiewicz skrętnie i bardzo pracowicie zestawiał bohaterów „Pana Tadeusza” z różnymi typami literackimi — trudno jest na to odpowiedzieć.

Książka dr. Windakiewicza jest owocem benedyktyńskiej pracy. Dla miłośników literatury polskiej będzie bardzo ciekawą lekturą, dla nauczycieli-polonistów miłym podręcznikiem. Czy jednak zbliża nas do wnętrza epopei narodowej? Czy wprowadza w wir piękna, jakie zamknął Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”?

Na pytania te trzeba odpowiedzieć przecząco. Zresztą prof. Windakiewicz nie miał zapewne zamiaru budzić dreszczów estetycznych wzruszeń. Chodziło tylko o demonstrację metody analitycznej. Skutek wypadł nie zawsze spodziewany. Metoda ta musi jeszcze przejść nieraz przez ogniową próbę doświadczenia. Należy problemy należące do jej kompetencji ustalić. W przeciwnym wypadku cała ogromna ilość benedyktyńskiej pracy idzie na rzeczy zgoła zbędne.

W każdym razie jednak „Prolegomena” prof. S. Windakiewicza są książką, z którą należy się zmierzyć.

Dr. Z. M.

